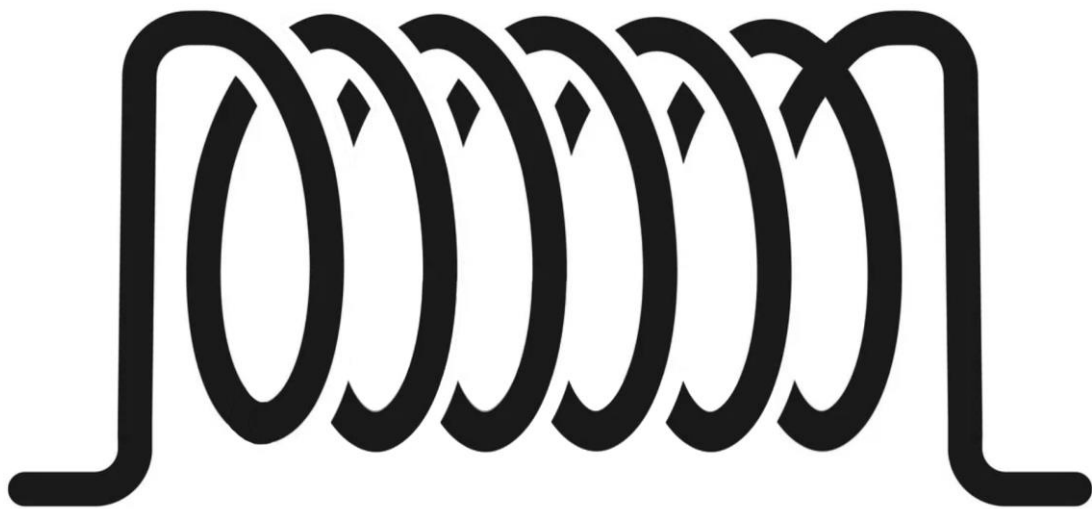


Jarosław Księżyk



**ZAUFANIE CZYNI
DOBROBYT**

Seria: INDUKCJA

WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL

SPIS TREŚCI

| | |
|-------------|----|
| Jeden | 2 |
| Dwa..... | 5 |
| Trzy | 10 |
| Cztery..... | 12 |



JEDEN

Dwie ostre niczym brzytwa szable krzyżują się głowniami. Ostrza połyskują w zimnym blasku księżyca. Dłonie zaciśnięte na rękojeściach drżą, próbując powstrzymać nacisk przeciwnika. Następuje szybkie odejście od zwarcia. Zwinnymi, szermierskimi krokami przeciwnicy cofają się i zataczają koło by znów uderzyć. Słychać brzęk żelaza, gdy ciosy jeden za drugim zatrzymują się na klindze przeciwnika. Atak, unik, parowanie. Walczący zataczają kolejny krąg i z teatralnym pietyzmem kontynuują spektakl. Opustoszała, osłonięta nocą łąka jest jego jedynym widzem.

*

Ogarnięty wizją szermierskiego pojedynku, wsłuchany w pompatyczną muzykę ze słynnego baletu Siergiej Prokofjew'a „Romeo i Julia”, towarzysz Dobrobyt wskakuje na stół i wymachuje tępą imitacją kawaleryjskiej szabli. Jego ruchy krępuje jedynie gruby, bawełniany, niedbale związany paskiem biały szlafrok z wyhaftowanymi inicjałami. Końcówką broni zahacza o ozdobny żyrandol, wprawiając go w kołysanie. Cienie przesuwają się po wytwornej sypialni.

Jednakże towarzysz nic sobie z tego nie robi i słysząc jak dudnią kontrabasy, skrzypce szeleszczą niczym pszczoły i do ataku trąbią rogi, naciera. Naciera z pełną stanowczością, przybierając pochmurny wyraz twarzy i gromiąc wzrokiem.

Półnaga brunetka, nieumiejętnie trzymająca drugą z szabel, biega wokół stołu, co jakiś czas nadstawiając klingi i udając obronę. Chichocze przy tym, co nie miara. Zza zbyt małego więziennego pasiaka próbują wyskoczyć obfite piersi. Długie, idealnie gładkie nogi wabią w kierunku pośladków, ukazujących się światu podczas podskoków.

Widzi je i towarzysz Dobrobyt. Przygryza wargi wąskich ust i czując jak krew napływa mu do głowy, celuje i energicznym ruchem uderza w półdupek piórem szabelki. Słychać klask. Kobieta pokrzykując upuszcza broń, chwytą się za tyłek i zaczyna uciekać w kierunku przepastnego łoża. Na ustach towarzysza maluje się zadowolenie. Małe oczy, schowane głęboko w czaszce błyszczą.

Dobrobyt zeskakuje ze stołu, biegnie za kobietą, oszalały widokiem idealnie jędrnych pośladków. Raz po raz uderzają w nie klingą. To z lewej, to z prawej, to mocniej, to delikatniej. Za każdym razem reakcja jest taka sama. Ona podskakuje, śmieje się i woła „Pomocy!”.

Gdy dobiegają do łożka, on zatrzymuje ostrze nad jej ramieniem.

- Na kolana! – wykrzykuje basem.

- Tak jest panie komisarzu. Zrobię wszystko, co pan komisarz każe – odpowiada postusznie i chichocze.

- Na kolana i czekaj. Mam coś jeszcze do załatwienia – mówi głośno, a gdzieś zza firan słychać rechot.

Towarzysz Dobrobyt porzuca szablę i dobiega do komody, gdzie zmienia płytę w adapterze. Rozlega się złowieszczy szum nadchodzącego tornada. Z tuby wydobywają się pierwsze dźwięki Walkirii Wagnera. Dobrobyt chwytą oburącz wystawioną w gablocie imitację starego karabinu maszynowego i puszcza w kierunku okna wyimaginowaną serię w rytm wzniosłej muzyki.

- Tratatata – krzyczy i trzęsie repliką broni. – Tratatata – warczy i podskakuje do ciągnących się do ziemi, ciężkich firan.

Szczupluta blondynka z sutkami jak piegi i delikatnymi, kręconymi włosami wyskakuje z ukrycia i ucieka spod ognia. Dobrobyt bierze na celownik jej dziewczęce, skąpo owłosione łono i szturmuje dalej.



Napędzany muzyką i widokiem gniazda miłości, puszcza kolejne serie, które w końcu okazują się celne. Zwinną blondynkę, gdy jest już przy samym łóżku, chwytą się za serce i pada jak długa na postanie, wydając z siebie egzaltowany jęk. Jej wciąż klęcząca towarzyszka bije brawo i w geście triumfu unosi ręce, zaś jej piersi wygrywiają z lichymi guzikami więziennego stroju i wyskakują niczym dwa balony uniesione na wietrze.

Dobrobyt triumfator. Dobrobyt zwycięzca. Kroczy majestatycznie w kierunku łoża, łapie blondynkę za włosy i sprowadza na klęczki tuż obok koleżanki. Upuszcza karabin, który z łoskotem spada na ziemię, po czym natchnionym ruchem unosi ręce.

Walkirie kończą szarżę, gdy dziewczyny chwytają za końcówki paska i rozwiązują szlafrok komisarza, odsłaniając jego liche, sówicie owłosione ciało i gotową do użycia, ostateczną broń w tej walce.

- Kobiety ludu pracującego. Do roboty – komenderuje komisarz. One pochylają się nad kroczeniem.

W tym momencie, ciężkie, stylizowane na barokowe, drzwi otwierają się i staje w nich starsza, zapłakana kobieta. Dobrobyt odwraca się w jej kierunku i woła wściekle.

- Won towarzyszko Sojusz. Won mówię!

Staruszka jednak ani myśli odejść. Wyciera łzy w rękaw wełnianego swetra i sięga do kieszeni ceratowego fartucha, pełniącego rolę okrycia wierzchniego.

- Towarzyszko Sojusz. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Jeżeli natychmiast nie odejdziesz, to będą to nie tylko twoje ostatnie chwile jako sprzątaczkę w tym domu, ale i w naszej socjalistycznej ojczyźnie! – warczy Dobrobyt. Zaciekawione sytuacją, dziewczyny siadają u jego stóp i pytają patrząc na staruszkę.

Sojusz jednak nie odpowiada, tylko roni kolejne łzy i wyciąga coś z kieszeni.

- Tego już za wiele! – ryczy komisarz, a nagie dziewczyny podśmiewują się skrycie, przytulone do tydek.

Dobrobyt nie zważając na balast i robi krok naprzód, lecz nagle staje jak wryty.

Staruszka mierzy w niego z rewolweru i szlocha. Ręka jej drży, jednak wskazujący palec złowrogo spoczywa na spuście. Dobrobyt rozpoznaje broń. Jest to jego osobisty rewolwer. Sprawny. Sam czyścił go o poranku.

- I co kamratka najlepszego robi? – Szybko zmienia taktykę. - Proszę natychmiast odłożyć pistolet, wrócić do siebie i przemyśleć, co też mi tu Sojusz wyprawia! – mówi zdecydowanie łagodniejszym tonem.

Usta Sojusz dygoczą, jakby chciała coś powiedzieć, jednak ani myśli złożyć broni. Co innego męskość komisarza, która zdążyła już opaść. Dziewczyny cichną i patrzą po sobie.

- O co chodzi kamratko? Co się takiego stało? Czy to pierwszy raz, kiedy w mojej sypialni zjawiają się dziotłzki? Niechże Sojusz nie robi scen, tylko opuści broń i porozmawiajmy. - Powoli, bez gwałtownych ruchów, robi krok w kierunku sprzątaczkę.

- Towarzysz dobrodziej zawsze był dla mnie taki dobry – cedzi staruszka, a wyprostowana ręka drży coraz bardziej. – Niech komisarz nie ma mi tego za złe, ale muszę to zrobić. Dla dobra ojczyzny i dla dobra komisarza. – Przyciska mu rewolwer do piersi.

- I co dalej? – pyta mężczyzna, zyskując na czasie. Gdzież jest kapitan Czyn, do cholery?



– Zamierza mnie kamratka zastrzelić? Proszę bardzo! – Każda kolejna sekunda daje mu więcej szans na przeżycie.

Odpowiada mu szloch załamanej babiny. W tym momencie oko Dobrobytu dostrzega grubo ciosane rysy osobistego ochroniarza, który cichcem zachodzi sprzętaczkę od tyłu. Niestety, ona też czuje wrogą obecność za plecami i podejmuje desperacką decyzję.

Dobrobyt wie, że ona też wie. Nie ma już nic do powiedzenia. Jedyne, co przychodzi mu na myśl to paniczny krzyk:

- Czyn! Do cholery! Ratuj!

Palec wskazujący pogodzonej z losem kamratki Sojusz powoli naciska na spust. Kapitan Czyn jest o centymetry za nią.



DWA

Ciasny, nadszarpięty zębem czasu przedział wagonu osobowego był prawie pusty. Nikt nie garnął się do obwodu ogarniętego chaosem i rewolucją. Nikt, poza dwoma mężczyznami ubranymi w skromne, workowate mundury policji bezpieczeństwa. Ze znużeniem patrzyli w okno.

Obydwaj myśleli o tym, co ich czeka na miejscu oraz o tym, że ośmioosobowy przedział z podziurawionymi kanapami przewiezie z powrotem więcej jak tuzin uciekających ludzi. Tych, którzy mieli tyle szczęścia, by dostać przepustki.

Miarowe dudnienie kół pociągu ustało i przeszło w nieznośny łoskot, gdy skład zwolnił i na nierównych szynach zaczął trząść się jak osika. Jeszcze niedawno trwały w tym rejonie partyzanckie walki.

Sierżant Dobrobyt oderwał łokieć od okna, nie umiając wytrzymać szarpania wagonu. Jego kamrat bezskutecznie szukał wygodnej pozycji naprzeciwko. Niestety był na to zbyt wysoki, o dobry łokieć wyższy od kolegi. Maszynista zwolnił, zapewne również mając dość nieprzyjemnej jazdy.

- Dobra. Zagrajmy – ni to zaproponował, ni to stwierdził lejtnant Zaufanie, po czym rozłożył karty na lichym stoliku.

Partyjki mijały jedna za drugą, a pociąg powoli dojeżdżał do miasta. Nudny, ciągnący się kilometrami krajobraz, pełen porośniętych gęstą trawą łąk, skąpo zalesionych pagórków i odłogów, ustąpił miejsca wsiom. Chaty kryte strzechą, wielkie, drewniane stodoły, gruntowe drogi, szpachlowe ogrodzenia. Wszystko to na pierwszy rzut oka wyglądało zwyczajnie. Jednakże wnikliwy Dobrobyt widział więcej. Dostrzegł dziury w dachach, puste stodoły z drzwiami otwartymi na oścież, nieuczęszczane drogi, porzucone pola uprawne, szczyrby w płotach, rdzę na nieruchomych maszynach, niknących w miękkiej ziemi.

- Ruina. Ruina w tym pięknym kraju – wycodził.

Zaufanie oderwał wzrok od kart i również spojrzął za okno: - No i co się przejmujesz, kolego. Będziemy mieli tu dużo roboty. Prawda?

- Wolałbym, żebyśmy nie mieli. Pieprzona reakcja. Kiedy oni w końcu zrozumieją, że mogą być tylko z nami, a nigdy przeciwko nam. Wtłaczamy im to do głowy od lat i jaki jest efekt?

- Zmusimy ich – rzekł od niechcienia Zaufanie i zaklął pod szczeniastym wąsem, nie mniej okazałym niż wielki nos. – Kto to tasował...

- Sądzisz? W komisariacie ludowym pracuje bez wytchnienia cała armia takich jak my. Próbują przywrócić normalność, pracują dzień i noc w pocie czoła. I co

- Ale takich jak my dwaj tam jeszcze nie było – ziewnął Zaufanie i zagrał kartę.

- Chyba już niedaleko. – Dobrobyt odłożył karty, zapalił niedbale skręconego papierosa i wlepił wzrok w okno.

Im bliżej miasta, tym zabudowa stawała się gęstsza. Chaty stały jedna przy drugiej. Gdzieś tam można było dostrzec dwupiętrową kamieniczkę. W oddali na pagórku majaczył ciemny kościół otoczony wiekowym, zarośniętym cmentarzem. Gdy wjeżdżali do przedmieść, ujrzeli wielki, czarny jak smoła spichlerz ze zniszczonymi bramami. Wokół niego krzątali się ludzie. Grunt w promieniu wielu metrów był spopielony.

- O popatrz! To musiało być tu! – wskazał palcem sierżant Dobrobyt.



- Rzeczywiście – Lejtnant Zaufanie wychylił się w kierunku jazdy. – Skurwysyny. Podpalili. Zupełnie tak jak pisała Prawda. Zebrali całe zboże i podpalili.

- A potem próbowali zniszczyć linię kolejową – dopowiedział triumfalnie Dobrobyt, popisując się wiedzą z gazet.

- Tylko na nich popatrz – syknął Zaufanie.

- Ano właśnie. Widzisz to? Siedzą na ziemi jak jakieś psy. Tylko spójrz na te oczy. Niby bezbronne, poddane, załamane. A tak naprawdę cieszące się z krzywdy ojczyzny. Zobacz tylko, jak chwytają się za te swoje wydęte brzuchy i manifestują! Jaki to ja nie jestem głodny. Jak dawno temu nic nie jadłem! Pieprzone kułaki. Myślą tylko o sobie.

- Nie wiem, czy oni w ogóle myślą, towarzyszu – skwitował Zaufanie, wodząc wzrokiem po krajobrazie. Również zapalił.

- Otóż to, kolego młodszy lejtnancie. Oni nie myślą. Ich opór jest w nich tak głęboko, wykluwa się z trzewi, że nawet nie czują, jaką robią innym krzywdę. Podskórnice, jak zwierzęta wiedzione instynktem, przeciwstawiają się wszystkiemu, co nowe.

- Dlatego trzeba ich złamać.

- Tak jest. Wytresować i wybić pałami z głów bydlęce nawyki. Tak jak zwierzęta hodowlane, będą pracować, spać, pieprzyć się w pośpiechu bez przyjemności i ginąć żalosną śmiercią. A to wszystko dla nas.

- Przed tobą kariera, kolego sierżancie – oznajmił poważnie Zaufanie.

- Tak sądzisz towarzyszu?

- Z takim gadanym?

Popatrzyli po sobie porozumiewawczo. Chwilę jechali w ciszy, obserwując w skupieniu jak pociąg mija niską zabudowę i wjeżdża do zniszczonego, chaotycznego i smutnego miasta. Na każdej przecznicy i w każdym zakamarku siedziały kolejne szarobure postaci ze zwieszonymi głowami i kościstymi, nieruchomymi członkami. Po niespełna kwadransie skład wtoczył się na jednopersonową stację kolejową, na której aż roiło się biedoty w łachmanach, błagająco wyciągającej ręce do wagonów. Lejtnant Zaufanie i sierżant Dobrobyt wzięli swoje walizki, ubrali zielone, długie płaszcze i wysiedli. Pokazali przepustki żołnierzowi pilnującego porządku i zostali odprowadzeni bocznym wyjściem z dworca. Nawet nie raczyli spojrzeć na głodujących biedaków cisnących się w kierunku pociągu. Zostawili ich za sobą.

- Może byśmy coś zjedli? – zaproponował Dobrobyt i poprawił czapkę na niekształtnej, trójkątnej głowie. – Mamy jeszcze dobry kwadrans do zbiórki.

- Tylko skąd tu wziąć jedzenie? – ni to zapytał, ni to stwierdził Zaufanie. Wyciągnął z kieszeni mały grzebyk i przeczesał nim włosy. Głowy czesać nie potrzebował, był łysy jak kolano.

- Ze sklepu – parsknął sierżant i wskazał na ludzi, tłoczących się przy ceglanej kamienicy na rogu placu dworcowego.

W kolejce stali głównie podłamani i zgarbieni chudzielcy, różniący się od siedzących u ich stóp żebraków praktycznie tylko kombinezonami robotniczymi i kartkami na żywność kurczowo ściskanymi w rękach. Wyglądali równie mizernie, a ich ubrania cuchnęły tak samo. Lecz jako pracujący mieli prawo jeść, a co za tym idzie żyć. Regułę tą rozumieli i kułacy. Dlatego tylko czekali nie wiadomo, na co. Nawet



nie próbowali błagać o jedzenie. Nie mówili nic. Unikali ruchów i utraty energii. Czekali na śmierć lub zbawienie. Albo na jedno i drugie.

Dobrobyt patrzył na nich wszystkich z nieukrywaną odrazą. Bezceremonialnie skierował się prosto do sklepu, gdzie natrafił na dwie kobiety klęczące na stopniach. Wznosiły wzrok ku górze, odmawiały modlitwę i płakały. Sierżant zamachnął się by wymierzyć im cios z pięści, jednak powstrzymał go brud, dosłownie skapujący z łachmanów. Ani myślał brudzić sobie rąk. Do tego wszystkiego kobiety śmierzdziały tak, że dopadły go mdłości.

- Do roboty nieroby! Myślicie, że ojczyzna da wam zreć za darmo? Wynocha, pókim dobry – ryknął.

Jednakże płaczki ani drgnęły. Zupełnie jakby nawet nie zauważyły oficera ludowego. Dobrobyt poczerwieniał i zapewne byłby skatował kobieciny, jednak uprzedził go ktoś inny. Do zbiegowiska dołączył krępy żołnierz o kanciastej, gładko ogolonej twarzy i wilczym spojrzeniu. Wymierzył sowitego kopniaka pierwszej kobiecie, zwalając ją ze schodów. Zaś na głowie drugiej zgasił papierosa. Tyle wystarczyło, by przerażone płaczki odstąpiły przejście.

- No, no, no! – odparł zadowolony Dobrobyt. – Dobra robota żołnierzu, jak się nazywacie?

- Szeregowy Czyn, towarzyszu sierżancie! – zaszalutował nieznajomy.

- Widzisz przyjacielu – powiedział dobrotliwie Dobrobyt, zwracając się do Zaufania. – Właśnie takich ludzi nam trzeba. Z takimi jak on, zrobimy tu porządek!

- Nic dodać nic ująć – podsumował Zaufanie i podał rękę szeregowcowi. - Chodź z nami, zjemy coś – dodał.

Cała trójka przestąpiła próg sklepu. W środku nie było prawie nic, jeśli nie liczyć długiej kolejki. Pułki świeciły pustkami. Tak samo jak i haki. Smutna ekspedientka właśnie sięgnęła pod ladę i wyciągnęła stamtąd bochen chleba.

- Dzień dobry towarzyszo – rzucił z entuzjazmem Dobrobyt i popatrzył wprost na ginącą w zbyt dużym, niegdyś białym fartuchu, rudą ekspedientkę.

- Dzień dobry towarzyszu oficerze – odpowiedziała niepewnie.

- Daj nam coś na ząb, bośmy zgłodnieli w podróży – odrzekł i poklepał sporo wyższego Zaufanie po plecach, zamiast po ramieniu. Nie lubił zadzierać rąk.

- Mamy tylko chleb i rozwodnione mleko, towarzysze. Ćwierć bochenka na osobę.

- Dawaj cały bochen i nie marudź – rozkazał Zaufanie. Powieka, usta, brwi, ani mu drgnęły. – I dorzuć jakiejś kiełbasy.

Szeregowy Czyn, stojący w cieniu dwóch podoficerów, patrzył na scenę z zaciekawieniem.

- Właśnie, właśnie. Dawaj, bo nam spieszno – dodał energicznie Dobrobyt, rozochocony wizją zjedzenia porządnego posiłku.

Po kilku minutach wyszli trzymając w ręce chleb i baniak z mlekiem. Jakoś przełknęli fakt, że kiełbasy w mieście nikt nie widział od miesięcy. Ekspedientka musiała mówić prawdę. Prości ludzie zawsze mówią prawdę, z lufą pistoletu przyłożoną do czoła.

Większość zapasów zjedli po drodze na dworzec. Przy czym najszybciej pałaszował je Czyn. Podoficerowie widzą to, pokleпали go po plecach. Dobrobyt dodał: - Trzymaj się z nami, a dobrze na tym wyjdiesz.



Z daleka widzieli czekającą tam na nich, wojskową ciężarówkę.

*

Wieczór nie należał do spokojnych. Zimowa zawierucha wdzierwała się do niewielkiej izby przez okienne szpary, szerokie na dwa palce. Silne opady śniegu sparaliżowały linie energetyczne, dlatego towarzysz Dobrobyt siedział nad papierami przy świeczkach. Denerwowały go niespokojne płomienie, mącone ruchami powietrza.

Dokończył pisać list, umieścił na dole kartki zamaszty podpis i przybił pieczętkę. Teraz wreszcie mógł wyprostować się na krześle i w spokoju zapalić. Patrzył na list, niespiesznie się zaciągając. Nad nim, na żółto-brązowej ścianie, wisały trzy portrety składające się na podium. Wodza narodu, najwyżej. Generalnego Komisarza Bezpieczeństwa, na swoistej drugiej pozycji, oraz Komisarza Obwodowego, rządzącego regionem z zaszczytnego trzeciego miejsca. Wszyscy trzej wielcy towarzysze również zdawali się z zadowoleniem wpatrywać w pismo przygotowane przez Dobrobyt. Ktoś zapukał.

- Kogo niesie?

- Towarzyszu majorze. Przybył kapitan Zaufanie. Z raportem.

- Wpuścić – zakomenderował Dobrobyt, niedawno mianowany na majora.

Drzwi otwały się z przeciągłym skrzypieniem i do pokoju wszedł Zaufanie, otulony w ciepły płaszcz i futrzaną czapkę. Intensywnie rozcierał ręce. Za nim wszedł Czyn i stanął na baczność. Pomimo wieczornej pory, jego kwadratowa twarz znów była idealnie ogolona. Jak on to robi? – nie mógł wyjść z podziwu Major.

- Sierżancie Czyn. Dwie herbaty z rumem – rozkazał Dobrobyt.

Czyn zamaszycie zasalutował i zniknął w sieni, zamykając za sobą drzwi. W międzyczasie Zaufanie zdjął zimowe ubranie. Przyjaciele uściskali się, po czym Dobrobyt zaprosił gościa na wygodny fotel stojący przy biurku.

- Masz, spróbuj tych. – Podsunął mu pod nos elegancką papierośnicę z brązowymi, długimi papierosami.

Porozmawiali chwilę o tragicznej pogodzie, problemach logistycznych i niegasnącym oporze miejscowej ludności. Wymienili również kilka spostrzeżeń na temat pagonów, dopiero co naszytych na ramionach mundurów, odzwierciedlających ich nowe stopnie. Po kilku minutach Czyn przyniósł herbatę i zapalił więcej świeczek. Wtedy to Zaufanie przeszedł do rzeczy.

- Mam doskonałe wieści, towarzyszu majorze – powiedział z urzędową powagą. – Nasz obwód okazał się najlepszy ze wszystkich. Do jesieni zebraliśmy najwięcej zboża, dystansując przy tym większe obwody o ponad połowę! Więcej mamy również warzyw, inwentarzu i przetworów. Wyczerpaliśmy również kontyngent na egzekucje wrogów narodu.

- Nasz sukces jest sukcesem ludowej ojczyzny – podsumował Dobrobyt. W jego uśmiechu było zacięcie, którego Zaufanie się trochę obawiał.

- Towarzyszu majorze. Widzę przed nami świetlaną przyszłość. A może powinienem mówić już, komisarzu? – Zaufanie spojrział wymownie na zdjęcia wiszące na ścianie.

- Masz rację. Dosyć mam już oglądania tej nalanej mordy. - Dobrobyt stanął na krześle, zdjął portret pucułowatego komisarza obwodu i schował go do szuflady. Najniższy stopień podium pozostał nieobsadzony. – Czas na kolejny krok, kolego – dodał, gdy usiadł z powrotem.



- To znaczy? Nie rozumiem...

- Mamy jeszcze jeden problem, tego tłustego obwiesia – wskazał na szufladę. – Ale już wiem, co z tym zrobić. – Podniósł z blatu świeżo napisane pismo i z namaszczeniem podał je kapitanowi. Zaufanie zagłębił się w lekturze, popijając gorącą herbatę z wkładką.

- Jesteś szalony – odparł łysy kapitan. – Pisziesz wprost do komisarza generalnego!

- A żebyś wiedział.

- Chcesz potroić kontyngent śmierci!

- I to dopiero początek. Może okazać się, że wrogów jest więcej. Dużo więcej. Nasz komisarz stracił czujność. Czas, by zastąpił go ktoś z werwą, inicjatywą. Ktoś, kto rozpęta wojnę z kułakami i zaprowadzi porządek raz na zawsze...

- A jeśli przechwyci list?

- Nie przechwyci. Wyślę sierżanta Czyn z osobistą misją do stolicy. Gdy tylko mnie tam wezwą, opowiem im wszystko. Łącznie z tym, dlaczego w obwodzie jest tylu wrogów ojczyzny.

- Czy ja o czymś nie wiem? – odchrząknął kapitan.

- Pamiętasz, jak mówiliśmy o reakcji? O tym, że jest podskórna, wyłazi z chłopów jak pot po pracy na roli. Śmierdzą tym oporem na kilometr, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Bojaźń przed nowoczesnością i wspólnotą tkwi w nich jak kornik w drewnie.

- No tak.

- Widzisz. Doszedłem do tego, że jest w tym coś jeszcze. Kułaki są jak zachwaszczona gleba. Nasiona chwastów roznoszą się i wyrasta z nich wrogość i prywatność. Wystarczy tylko złe ziarno i...

- Siewca – przytaknął Zaufanie.

- Dokładnie kapitanie! Ja tu widzę międzynarodowy, kapitalistyczny spisek wysyłający w naszym kierunku te plugawe nasiona, znaczy agentów, którzy rozchodzą się po wsiach, udają posłusznych obywateli i poszeptują, mataczą, knują, spiskują. Jednym słowem sabotują nasze wysiłki.

- Majorze. Pan jest wizjonerem – Zaufanie przetarł chusteczką spoconą głacę. Nie wiadomo, czy tak rozgrzała go herbata, czy wizja roztoczona przez majora. – A może powinienem już mówić, towarzyszu komisarzu?

Dobrobyt zacisnął usta i wykrzywił się w szyderczym uśmiechu. Z jego głęboko schowanym pod brwiami oczu wyczierała pewność siebie.



TRZY

Kiedy Zaufanie czekał na pociąg, słońce dopiero zbierało się do wzejścia. Nieprzyjemna wilgoć unosiła się w powietrzu i osiadała na wszystkim wokoło. Chodnik był mokry i śliski, po ławkach spływała rosa, mgielka przykryła klosze latarni.

Towarzysz i jego adiutant schronili się przed zimnem za postawionymi na sztorc kołnierzami i czekali na transport. Nie rozmawiali ze sobą. Adiutant wciąż czuł lęk przed zastępcą komisarza okręgowego. O tym, w jaki sposób wraz z Dobrobytem stali się najważniejszymi ludźmi w regionie krążyły legendy. Wszystkie one miały jednak wspólny mianownik: dziesiątki, setki trupów na drodze do władzy.

Zaufanie pogrążony był w myślach na temat misji, z jaką wysłał go Dobrobyt i która kazała wstać mu skoro świt i wyruszyć specjalnie podstawionym pociągiem. Myślał również o wiosennym słońcu, jakie wszędzie niebawem i przegoni niezdolność, przenikliwe zimno. Przez lata ciężkiej służby na prowincji nabawił się reumatyzmu.

Gdzieś w oddali zagwizdał parowóz, potem drugi raz, donioślej, aż wreszcie oczekujący zobaczyli oczom przedni reflektor lokomotywy. Zaufanie przywitał z ulgą gorącą parą zalewającą peron i wsiadł do pierwszego wagonu. Czekala go długa, wielogodzinna, nużąca podróż. Mając za kompana tylko adiutanta, mógł zrobić dwie rzeczy. Przespać całą drogę lub oddać się lekturze. Na spanie był zdecydowanie zbyt podekscytowany. Usiadł przy oknie i wyjął grubą książkę w czerwonej oprawie. Na okładce wielkimi literami wygrawerowano nazwisko wybitnego marksisty. Adiutant nie miał takich ambicji. Rozłożył się na fotelu, nogi oparł na przeciwległym siedzisku, zakrył piegowatą twarz wymiętą czapką i momentalnie zasnął. Pociąg ruszył z mozołem. Lecz podróż nie trwała zbyt długo. Nie minęło nawet pół godziny, a składem wstrząsnęło gwałtowne hamowanie. Adiutant osunął się z siedzenia i zwałił na ziemię.

- Co się tak gagicie? Wstać i sprawdzić, co się dzieje! – ryknął na zdezorientowanego chłopaka Zaufanie.

Adiutant szybko wstał i wychylił głowę przez okno: - Nic nie widzę towarzyszu komisarzu! – powiedział niepewnie.

- Ty małego zielona. Biegiem do kierownika pociągu!

Chłopak zasalutował i zniknął w korytarzu.

Zaufanie stracił ochotę na czytanie. Wstał i sam wyrzwał za okno. Wtedy zobaczył, żołnierzy biegnących z karabinami przez podmokłą łąkę. Było ich parudziesięciu. Widok wojskowych nie był dla Zaufania niczym nowym, jednak coś go tknęło. Czy to intuicja? Czy może wieloletnie doświadczenie? Podrapał się po tylnie i przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Dobrobytem, trzecim po Bogu. Tajemnicza misja, której cel pozna dopiero po przyjeździe. Daleki, samotny wyjazd, nieplanowanym pociągiem. Do tego zakreślająca coraz szersze kręgi afera ze szpiegami obcych wywiadów. Skoro obce macki były wszędzie i każdy mógł okazać się zdrajcą, to... Nie!

Wypadł na korytarz chcąc przywołać adiutanta. Usłyszał za to głosy żołdatów rozmawiających z obsługą pociągu. Pytali o przedział, w którym siedzi.

Solidnym kopniakiem wybił szybę i wyskoczył na nasyp. Wojskowi byli już w wagonie i chyba go nie zauważyli. Do najbliższych zabudowań było kilkaset metrów. Niewiele myśląc, rzucił się do biegu. Uciekł nie więcej jak sto metrów, gdy usłyszał za sobą rozkaz: - Stój, bo strzelam!

Przyspieszył. Nawoływania ponowiono.



- Nie odważą się. Jestem zastępcą komisarza służby bezpieczeństwa! – wrzeszczał, próbując zmotywować się do szybszego biegu.

Nagle usłyszał strzał. Kula utkwiała w ziemi dobre dziesięć metrów od niego.

- Dobra moja. Kiepski strzelec – dodawał sobie animuszu.

Drugi pocisk padł już zdecydowanie bliżej. A potem kolejny i następny. Strzelców było kilku. Zaufanie kluczył i zmieniał kierunek biegu. To w lewo, to w prawo i podskok. Skutecznie utrudniał w ten sposób zadanie snajperom. Do czasu, kiedy poczuł mocne ułucie na plecach, po którym zwałił się na ziemię. Świadomość opuściła go szybciej, niż dobiegli oprawcy.



CZTERY

- Czyn! Do cholery! Ratuj! – wrzeszczy komisarz Dobrobyt.

Pogodzona z losem sprzątaczką Sojusz zaciska palec na spuście, wiedząc, że jeśli nie wystrzeli teraz, to nie będzie miała już kolejnej szansy. Tę samą świadomość ma jej ofiara oraz hardy kapitan Czyn, znajdujący się już tuż za plecami starowinki. Dwie nagie dziewczyny, pochowane po kątach przepastnej sypialni, obserwują zajście z rozdziawionymi ustami.

Jednak baba nie strzela. Widzą przed sobą nagi tors komisarza i jego spanikowane oczy, nie daje po prostu rady. Ten wąty człowiek wydaje się jej taki niewinny i godny współczucia. W niczym nie przypomina okrutnego oprawcy, odpowiedzialnego za śmierć tysięcy. Nie, ona nie jest morderczynią. Nie potrafi być taka jak oni.

Kapitan Czyn uderza ją w zgięcie w łokciu. Staruszka łapie się za rękę i upuszcza broń. Czyn uderza ją kilkukrotnie w głowę, barki i brzuch. Ona pada na próg drzwi i zwija się z bólu. Zaczyna wymiotować.

- No i masz babo placek – podsumowuje zajście Dobrobyt. Niedbale zawiązuje szlafrok i patrzy nienawistnie na starszą kobietę. – A miałem do ciebie, towarzyszeko Sojusz, takie zaufanie. Po co ci to było? – pyta retorycznie.

Mimo wszystko sprzątaczką odpowiada: - Bo tak lepiej. Lepiej niż przyjdą i zabiorą. Bo ja towarzysza komisarza kocham jak rodzzonego syna.

- Czyn! Słyszysz, co ona wygaduje? Co to za farmazony? – Dobrobyt podchodzi od komody, wyciąga z pozłacanej szkatułki cygaro, obcina końcówkę i zapala je.

Czyn nic mówi, tylko podnosi pistolet z ziemi.

Każdy popełnia błędy. Komisarzowi zdarzały się one niezwykle rzadko, dzięki temu dotarł do miejsca, w którym jest. Ale tego wieczoru popełnił już dwie kardynalne pomyłki. Nie zamknął szuflady z bronią, przez co nieomal nie poniósł śmierci z rąk sprzątaczką, oraz pozwolił swojemu ochroniarzowi wziąć pistolet. Zdaje sobie z tego sprawę w momencie, gdy na korytarzu rozlega się tupanie wojskowych butów i do sypialni wpada kilku żołnierzy i nieznany Dobrobytowi oficer bezpieczeństwa w randze pułkownika.

- Niepotrzebnie przyszliście. Już wszystko dobrze. Sytuacja zażegnana, zagrożenia nie ma. – Przez moment Dobrobyt myśli, że być może wszystko będzie dobrze. - Zabierzcie z moich oczu tę babę i zamknijcie za sobą drzwi – wskazuje na opierającą się o ścianę starowinkę.

- Towarysz komisarz wybaczy, ale mam inne rozkazy.

Postęp wręcza mu kopertę.

- Co to ma znaczyć pułkowniku? Czyje rozkazy są ważniejsze od moich? – mówi nerwowo Dobrobyt i gasi niedopalone cygaro w kryształowej popielniczce.

- Z całym szacunkiem. Komisarza generalnego.

- Przeczytajcie. – Dobrobyt popełnia kolejny z serii błędów. Być może dlatego, że ręce mu się trzęsą i nie chce dać po sobie poznać.

- Wedle rozkazu. – Postęp rozrywa kopertę, przełyka ślinę i zaczyna czytać.



Towarzyszu Dobrobyt

Oto mamy za sobą wiele miesięcy wspólnej walki o dobro tak drogiej nam ojczyzny. Walki, której jesteś tak ważnym i zacnym ogniwem. Komuż nie oddawać honorów, jeśli nie słudze narodu, dekonspirującego międzynarodowy spisek. Pomyśleć, że macki wrogich imperialistów sięgały tak daleko, aż do twojego osobistego zastępcy, komisarza Zaufanie. Zaiste, smutny to był dzień.

Na szczęście Zaufanie przeżył pościg i wyśpiewał wszystkie swoje winy prowadzącemu przesłuchanie, wręczającemu ci ten list, pułkownikowi Postęp. Podał też kolejne nazwiska.

Osobiście uważam, że obarczanie ciebie towarzyszu winą za spisek, jest rzeczą skandaliczną, niemoralną i karygodną. Oddałbym taki zarzut z marszu, gdyby nie poszlaki, niestety.

Jakim cudem w twoim okręgu siatka szpiegowska jest największa i najlepiej zorganizowana spośród całego państwa? Jak to możliwe, że pomimo tak intensywnych prób jej likwidacji, agenci wciąż sabotowali dostawy zboża i mącili w głowach chłopom? Jak to się stało, że twój najbardziej zaufany człowiek został organizatorem spisku? Jak to wszystko mogło się stać, bez twojego w tym udziału?

Liczę, że sprawiedliwy proces pozwoli odpowiedzieć na te pytania w sposób oczyszczający twoje, jakże zasłużone dla ojczyzny nazwisko. Innej możliwości sobie wprost nie wyobrażam.

Proszę cię, poddaj się przesłuchaniu i pozwól na nowo oczyścić swoje imię. Aby przyspieszyć sprawy proceduralne, pułkownik Postęp zostaje mianowany tymczasowym komisarzem obwodu, ze skutkiem natychmiastowym.

Liczę na twoją współpracę, towarzyszu.

O ile pierwszy akapit uspokaja Dobrobyt, o tyle kolejne wersy wprawiają jego ręce w istne drgawki. Czerwienieje na twarzy i zaciska wąskie usta tak mocno, że wargi mu sinieją. Wstaje ze zdobionego krzesła. Już wie, że przegrał. Zbyt długo grał w tę grę, żeby nie wiedzieć, kiedy nie ma odwrotu. Może nie trzeba było utrać Zaufania?

- Dlatego, dlatego właśnie ja chciała zabić – lamentuje towarzyszka Sojusz. – Kocham pana komisarza jak syna własnego. Lepiej by mu było umrzeć szybko.

- Czyn – mówi wolno Dobrobyt. – Z łaski swojej, zrób pożytek z pistoletu, który trzymasz w ręce i strzel mi w głowę! – ryczy.

Kapitan Czyn nie waha się ani chwilę. Prostuje rękę i... podaje broń pułkownikowi Postęp. – Sprawiedliwość musi być, towarzyszu komisarzu – mówi.

- Czyn! Do kurwy nędzy! – Dobrobyt chce przechwycić pistolet, ale nie daje rady. Wojskowi momentalnie podrywają się z miejsca i chwytają byłego komisarza.

- Osądzi cię historia i niezawisły sąd ludowy – podsumowuje Postęp i wyprowadza skulonego, małego człowieka ubranego w biały szlafrok z haftowanymi inicjałami.

Gliwice 2019

Opowiadanie ukazało się w:

Kwartalnik Literacki **WYSPA** nr 4/2015 (36) - Suplement

